ROZMOWA

Ryszard Zalski

ROZMOWA Z CHIEN FU (FREDERICKIEM CHIENEM) **byłym sekretarzem Czang Kaj-szeka¹, politykiem, dyplomatą, członkiem rządu** **Tajwanu**

Doktor Frederick F. Chien jest obecnie przewodniczącym Yuanu Kontrolnego. Wcześniej był ministrem spraw zagranicznych (minister of state), przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego i dyrektorem Rady Koordynującej ds. Ameryki Północnej (CCNAA) w USA. Przez 8 lat pełnił obowiązki wiceministra w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Republiki Chińskiej, a przez 3 lata – Dyrektora Generalnego Rządowego Urzędu ds. Informacji (GIO).

W trakcie wcześniejszej kariery był tłumaczem prezydenta Czang Kaj-szeka oraz rzecznikiem ówczesnego premiera Chiang Ching-kuo, późniejszego prezydenta Republiki. Doktor Chien wykładał także jako *visiting professor* na Narodowym Uniwersytecie Tajwańskim (National Taiwan University) oraz Narodowym Uniwersytecie Chengchi (National Chengchi University).

Tytuł bakałarza uzyskał na NTU. Po ukończeniu uczelni Chien przeszedł egzamin służby cywilnej w zakresie spraw zagranicznych. Następnie podjął studia na Uniwersytecie Yale, gdzie otrzymał tytuł magistra oraz doktoryzował się. Jest osobą na Tajwanie bardzo znaną i szanowaną. W kontakcie bezpośrednim ujmujący, skromny i szalenie ciekawy. Nie sprawia wrażenia polityka, lecz męża stanu.

Wywiad dla „Azji-Pacyfiku” został przeprowadzony w czerwcu 2003 r. w siedzibie Yuanu Kontrolnego² w Tajpej.

¹ Stosujemy tu pisownię przyjętą w polskiej literaturze. W literaturze anglosaskiej stosuje się na ogół pisownię Chiang Kai-shek.

² Yuan Kontrolny – jeden z pięciu organów władzy Tajwanu. Zgromadzenie Narodowe składa się z Yuanu Legislacyjnego, czyli parlamentu właściwego, ponadto Yuanu Egzaminacyjnego, Kontrolnego, Sądowiczego i Wykonawczego

Dzień dobry, czy mógłby Pan powiedzieć skąd Pan pochodzi i kiedy Pańska rodzina przybyła na Tajwan?

Urodziłem się w Chinach kontynentalnych w 1935 r. w Pekinie, wtedy nazywaliśmy go Peiping. W wieku 14 lat przybyłem na Tajwan. Mój ojciec był profesorem, objął tu funkcję rektora Narodowego Uniwersytetu Tajwańskiego (*National Taiwan University, Taida*), którą piastował przez 20 lat, a potem stał na czele *Academii Sinica*³. Tutaj skończyłem podstawówkę, liceum i uniwersytet *Taida*. Pracę dyplomową obroniłem z nauk politycznych. Dwa lata służyłem w wojsku, po czym w 1958 r. pojechałem do New Haven w Connecticut [siedziba uniwersytetu Yale – przyp. R. Z.]. Skończyłem tam stosunki międzynarodowe i po trzech latach wróciłem do domu. Jeszcze zanim opuściłem Tajpej, przystąpiłem do egzaminu do służby dyplomatycznej, tak więc gdy wróciłem i przeszedłem odpowiednie przeszkolenia, rozpocząłem – na początku 1962 r. – pracę w służbie zagranicznej. W tym samym czasie zostałem poproszony przez ówczesnego wiceprezydenta i premiera Chen Chena, abym został jego osobistym sekretarzem. Część czasu pracowałem dla niego, część w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Trwało to 3 lata, do śmierci Chen Chena w 1965 r. Wówczas generalissimus Czang Kaj-szek zwrócił się do mnie z prośbą, abym został jego osobistym sekretarzem. Na stanowisku tym pracowałem 10 lat, aż do momentu, kiedy odszedł od nas na zawsze⁴. Pracę w ministerstwie rozpocząłem od stanowiska dyrektora sekcji, następnie – zastępcy dyrektora departamentu ds. Stanów Zjednoczonych, później dyrektora tegoż departamentu. W 1972 r. zostałem dyrektorem generalnym Rządowego Urzędu ds. Informacji (*Government Information Office, GIO*). Kiedy w 1975 r. generalissimus zmarł, wróciłem do MSZ. Przez 8 lat, jako wiceminister, zajmowałem się Stanami Zjednoczonymi, tak więc problematyka amerykańska jest mi dość bliska, oraz Europą, z którą także jestem w pewien sposób obeznany. Na początku 1983 r. objąłem naszą misję w Waszyngtonie. Swego czasu była to nasza ambasada, jednak po normalizacji [stosunków USA z ChRL] zmieniono jej nazwę na CCNAA⁵. Funkcję tę [szefa misji] sprawowałem przez 5 lat i 8 miesięcy. W 1988 r. wróciłem do domu i w sierpniu zostałem ministrem (stanu), równolegle pełniąc obowiązki prezesa Rady Planowania Gospodarczego i Rozwoju. Nazywano mnie „carem rządu ds. gospodarki”. Pod koniec mojego prezesowania rozpoczęliśmy budowę szybkiej kolei i wiele ważnych projektów, jak prywatyzację i program ubezpieczeń społecznych. Zajmowałem się tym przez dwa lata. W 1990 r. zaproponowano mi pełnienie obowiązków ministra spraw zagranicznych. Funkcję tę sprawowałem przez ponad

³ Academia Sinica – założona w 1928 r., najwyższa rangą instytucja naukowa Republiki Chińskiej, podlegała bezpośrednio urzędowi prezydenckiemu, odpowiednik Polskiej Akademii Nauk.

⁴ Czang Kaj-szek zmarł 5 kwietnia 1975 r.

⁵ Skrót od Coordination Council for North American Affairs – z czasem zastąpiony przez TECRO (Taipei Economic and Cultural Representative Office in the United States), którego amerykańskim odpowiednikiem na Tajwanie jest AIT (American Institute in Taiwan).

6 lat. W 1996 r. wybrano mnie pierwszym spikerem Zgromadzenia Narodowego. W 1999 r. przeszedłem do Yuanu Kontrolnego.

Tematem Pańskiej pracy doktorskiej były zagadnienia dotyczące Korei?

Tak, otwarcie Korei, jako kontynuacja chińskiej dyplomacji 1876–1885.

To ciekawy zbieg okoliczności. W latach 90. trzykrotnie odwiedzałem Koreę Północną. Tematyka ta do dzisiaj jest bardzo aktualna.

Tak, zgadza się. Nawet dzisiaj otrzymałem telefon od bliskiego koreańskiego znajomego. Osoba ta, mimo iż pochodzi z Korei Południowej, więcej czasu niż gdziekolwiek indziej spędziła w USA. Akurat jest w drodze do Korei Północnej, aby rozpocząć jakieś tajne negocjacje.

Moje pierwsze pytanie dotyczy procesu demokratyzacji na Tajwanie. Jakie siły przyczyniły się do niego najbardziej? I jak Pan je ocenia?

Występuje tu wiele czynników. Z jednej strony musimy uznać zasługi rządu. Jeżeli przyjrzymy się sytuacji w Korei, na Filipinach i w Tajlandii, proces ten rozpoczął się tam mniej więcej w latach 70. Trwał jeszcze pod koniec poprzedniego stulecia. Towarzyszył mu często rozlew krwi, używano broni maszynowej. Tutaj mieliśmy bardzo silną opozycję, jednak – dzięki Bogu – udało nam się uniknąć większego rozlewu krwi. Część zasługi za to należy się rządowi. Jeśli władza zachowuje się biernie, wówczas mamy do czynienia właśnie z czymś takim. Po drugie, znaczną presję wywierały na nas różne czynniki z zewnątrz – włącznie z administracją i Kongresem USA, które zawsze zmuszały nas do poszerzenia reprezentatywności władzy.

Ma Pan na myśli różne czynniki z USA czy też z innych krajów?

Przede wszystkim Stany Zjednoczone, jednak także Japonię, choć w niezbyt znaczącym stopniu. Pod koniec zeszłego stulecia rządy w Japonii i na Tajwanie niewiele różniły się od siebie. Były w znacznej mierze podobne. LDP [Partia Liberalno-Demokratyczna] i KMT [Kuomintang] stałe sprawowały władzę, a później ich przywódcy oraz różne frakcje walczyły ze sobą. Najgorszą częścią tego układu było ich końcowe „dogadanie się” z finansjerą, z bogaczami. Istnieją tu znaczne podobieństwa. Tak więc Japonia nie mogła w tym względzie wiele zdziałać. Poza tym istniały inne instytucje, jak *Amnesty International*. Ich działalność odbieraliśmy wtedy w rządzie jako wścibskość. Przesadnie żądali tego czy owego. W końcu jednak odniosło to swój skutek. I to był drugi czynnik. Trzecią siłą była opozycja – DPP [Demokratyczna Partia Postępu] i ludzie z *Taiwan Independence Movement*. W latach 70. i 80. ich działalność była zabroniona, jednak w latach 90. powrócili. Wszyscy oni odegrali swoją ważną rolę. Tak więc to są te trzy występujące razem podstawowe zasadnicze elementy.

W tej właśnie, wymienionej przez Pana kolejności?

Niekoniecznie, w pierwszym rządzie to świadomość rządu. Taka jest tendencja. Przypominam sobie, jak wielokrotnie rozmawiałem w latach 80. z Chiang Ching-kuo⁶. Tajpej opuściłem na początku 1983 r. Ostatni raz widziałem go miesiąc przed jego [Chiang Ching-kuo] odejściem od nas. Wezwał mnie do siebie, po prostu żeby mnie zobaczyć. Miałem wrażenie, że wiedział już, że jego czas nadchodzi i chciał się pożegnać. Skarżył się na wszechobecne bóle. Jednak to było wszystko, co mi powiedział. W trakcie wielu wcześniejszych spotkań leżał na łóżku i tak rozmawialiśmy. Mówiłem mu wtedy, że według mnie, jeśli chodzi o USA, głupotą było – i mówiłem to spokojnie – kontynuowanie stanu wyjątkowego. Na świecie przez stan wyjątkowy rozumie się cztery elementy. Przede wszystkim – zawieszona konstytucja, po drugie – rozwiązany parlament, po trzecie – rząd cywilny zastąpiony przez wojskowy i po czwarte – ludność pozbawiona wolności obywatelskich. W naszym przypadku, przez wszystkie te lata – 50., 60., 70., 80. i 90. – nigdy nie anulowaliśmy naszej konstytucji, zawsze nas obowiązywała i wszyscy trzymaliśmy się jej litery. Nie pozbyliśmy się naszego parlamentu – mieliśmy 3 jego formy zamiast 2: Zgromadzenie Narodowe, Yuan Kontrolny i Yuan Legislacyjny⁷. Czterech członków rządu posiadało tytuły doktora zdobyte w USA, sami cywile – nie było żadnego wojskowego. Wolności i prawa obywatelskie były częściowo naruszone. Część spraw, które należałoby sądzić przed sądami karnymi, była rozpatrywana przed sądami wojskowymi. Dlaczego zatem powinniśmy posługiwać się takim parasolem jak stan wyjątkowy?

Twierdzi Pan, że ten stan nie był tak dolegliwy...?

Sama jego istota nie była aż tak poważna.

Spotkałem jednak członków DPP twierdzących, że istniała bliska współpraca tajwańskich i amerykańskich służb specjalnych i byli prześladowani przez nie na terenie USA.

Służby specjalne w USA to FBI i CIA. Jednak CIA tu nie byłaby w stanie wiele zdziałać. Z naszego punktu widzenia najgorszą rzeczą, jaką wyrządziła CIA, to pomoc udzielona profesorowi Peng Ming-ming przy opuszczeniu w latach 70. Tajwanu. Poza tym, istnieją w USA osoby twierdzące że reprezentują pewne agencje. Jest to jednak nieprawda. Niektórzy członkowie *Taiwan Independence Movement* uważają, że byli prześladowani i wykorzystani przez Amerykanów (śmiech).

⁶ Syn Czang Kaj-szeka (1910–1988), premier Tajwanu od 1972, od 1978 prezydent do śmierci w 1988.

⁷ Zasadę pięciu władz stworzył dr Sun Yat-sen, pięciopodział władzy usankcjonowany jest w konstytucji. Zakłada ona istnienie w ramach rządu centralnego pięciu Yuanów, za pośrednictwem których rząd sprawuje władzę.

Niektórzy z nich jednak twierdzą, że byli prześladowani przez tajwańskie służby.

Niemożliwe, to niemożliwe. Po pierwsze, nie mieliśmy odpowiedniej ilości personelu. Po drugie, nasz budżet w Waszyngtonie po prostu na to nie starczał. Służyłem do końca tego okresu, tzn. do okresu poprzedzającego całkowite otwarcie kraju. Nie mieliśmy takich pieniędzy. Było to całkowicie niemożliwe. Owszem, czasami otrzymywałem raporty o niektórych osobach. Dowiadaliśmy się o tym od członków Lokalnego Stowarzyszenia Tajwańczyków (*Teng xiang hui*).

Chciałbym Pana spytać o okres, kiedy Republika Chińska musiała opuścić Organizację Narodów Zjednoczonych. Istnieją na ten temat rozbieżne opinie. Część osób mówiła mi, że była to osobista decyzja Czang Kaj-szeka i jego porażka, inni znowu, że nie dało się tego uniknąć. Czy kiedykolwiek tego żałował? Jak Pan to postrzega?

Jestem jedyną żyjącą osobą, która brała udział w podejmowaniu tych decyzji, jeszcze zanim tam pojechaliśmy i która była członkiem delegacji. Wszyscy pozostali już od nas odeszli. Przede wszystkim, Czang Kaj-szek nie był aż takim dyktatorem, za jakiego go uważano. Łatwo dawał się przekonać osobom, znającym się na danej dziedzinie. Pamiętam dokładnie, że ministrem spraw zagranicznych był wtedy Zhou Shu-kai (ja byłem wówczas szefem Departamentu ds. Ameryki Północnej). Przejął on ministerstwo w kwietniu 1971 r., pół roku przed głosowaniem w ONZ. Powiedział mi: nie mogę ufać innym, polegam tylko na tobie. Tak więc każdorazowo, kiedy przyjmował amerykańskiego lub japońskiego ambasadora, lub rozmawiał z ważnymi decydentami, zawsze prosił mnie o wzięcie udziału w spotkaniu. Stąd też, mimo że nie podlegały mi bezpośrednio sprawy ONZ, byłem w to zaangażowany. Mogę powiedzieć, że „czułem pismo nosem”. Przed rokiem 1970 nie mieliśmy wystarczającej ilości głosów. Rok 1970 był wyjątkowy. Przypadała wówczas 25. rocznica powstania NZ. Stąd też w tym roku sesja Zebrania Ogólnego wydłużyła się. Pierwszą część zarezerwowano dla członków organizacji, na przemówienia ich głów państw i szefów rządów. Kwestia reprezentacji Chin pojawiła się późno, dopiero pod koniec roku – około listopada. Ważne głosowanie dotyczące rezolucji w sprawie kwestii wygraliśmy 3 głosami. Jednak główna rezolucja – czyli albańska – otrzymała dodatkowe 2 głosy. Była to jednak zwykła większość. Ponieważ jednak rezolucja dotyczyć miała „ważnej kwestii”, głosowanie – przy braku większości 2/3 głosów – zostałoby przegrane. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w 1971 r. groziło nam poważne niebezpieczeństwo. Tak więc Stany Zjednoczone oraz Japonia doradziły nam zmianę taktyki. Nie mogliśmy polegać na rezolucji w sprawie ważnej kwestii. Należało ją zmienić na rezolucję zmieniającą w sprawie ważnej kwestii. Cóż to znaczy „zmieniająca”? Wykluczenie Republiki Chińskiej to ważna kwestia. Dopuszczenie ChRL do ONZ nią nie jest. I po drugie, dodano, że to nie wystarczy, konieczna jest odpowiednia re-

zolicja. Zarówno RCh, jak i ChRL powinny być reprezentowane w ONZ. Jednak i to nie jest takie ważne. Dodatkowo, odpowiednia rezolucja powinna być pełna. Cóż to oznacza? ChRL musi zasiadać w Radzie Bezpieczeństwa, RCh pozostać zwykłym członkiem. Nie pamiętam już ile razy omawialiśmy to razem z Zhou, uznając iż była to dla nas jedyna możliwość pozostania w ONZ. Stąd też obydwa zaczęliśmy konsultacje. Odwiedziliśmy sekretarza generalnego generalissimusa, Zhang Quena, wiceprezydenta CK Yana, Yen Jia-gana oraz Huang Shao-ku, którego generalissimus darzył zaufaniem jako sekretarza generalnego Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Ustaliliśmy, że była to dla nas jedyna możliwość pozostania w organizacji. Odwiedziliśmy także Chiang Ching-kuo, wówczas wicepremiera. Ustaliliśmy, że z całej czwórki właśnie Zhang Quen miał udać się do generalissimusa i porozmawiać. Co też uczynił. Czang Kaj-szek przybył. Tak więc przed ostateczną podróżą – obydwa opuściliśmy Tajpei 15 września – Gimo (generalissimo) odbył spotkanie w swojej rezydencji z udziałem ok. 12 osób. Jednak, niestety, na spotkaniu pojawiła się madame Chiang. Po przedstawieniu przez wszystkich swoich racji, ustaliliśmy sposób postępowania i Gimo powiedział: „to jedyna możliwość na przeprowadzenie wszystkiego, życcie nam szczęścia”. Właśnie mieliśmy wyjść. W tym momencie wstała madame Chiang i powiedziała: „nie możemy zapominać, że każda osoba musi mieć swoją własną osobowość”. Osobowość to *ren ge*. „Także naród i państwo musi ją posiadać – państwowość”. Poczuliśmy smutek, wiedzieliśmy że ona się nie zgadza. W końcu nie mogliśmy publicznie popierać takich kombinacji. Wielu naszych przyjaciół mówiło: to nie jest dobre dla RCh. Jeżeli RCh nie popiera tego oficjalnie, to jak my możemy to popierać? Tak więc byłem członkiem delegacji, w dziale ds. kontaktów i odpowiadałem za kontakty z innymi delegacjami – japońską, amerykańską, australijską, tajską. Codziennie rano porównywaliśmy ilość głosów. Liczyliśmy w ramach naszej własnej delegacji. Trzy głosy za mało. Codziennie gdy udawałem się do misji Stanów Zjednoczonych przy ONZ, nadal brakowało nam 3 głosów. Liczyliśmy ponownie. Różnica dotyczyła 3 delegacji. Tymi delegacjami były Belgia, Meksyk, Malezja. Zaliczyliśmy je jako państwa nam nie sprzyjające, choć oni uważali się za naszych sprzymierzeńców. Przedstawiciele amerykańskiej misji poinformowali nas, że słyszeli plotki, jakoby Związek Radziecki miał się powstrzymać. Jeżeli tak, to i Polska, i Węgry, co dałoby ok. tuzina głosów. „Tak więc z pewnością wygrać”. Jednak nie doszło do tego. W tymże roku do grona członków ONZ dołączyły trzy nowe podmioty, wszystkie z rejonu Zatoki Perskiej: Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar i Oman. Mieliśmy mówiącego po arabsku ambasadora, będącego muzułmaninem. Spędzał z owymi delegacjami cały czas. Zapewnili nas, że będą na nas głosować. Mimo, że jeszcze nie należeli do organizacji, jednak w momencie głosowania byłiby już jej członkami. Tak więc, dawało to trzy dodatkowe głosy w przyszłości. Reszta należała do przewodniczącego. Któż był przewodniczącym? Minister spraw zagranicznych Indonezji Adam Malik. Wreszcie 25 paź-

dziennika rozpoczęło się głosowanie. Wiedzieliśmy, że on będzie po naszej stronie. Tak więc 25 października o 19.45 rozpoczęło się głosowanie. Nagle okazało się, że owe 3 arabskie delegacje zniknęły. Jak następnie usłyszeliśmy, udali się z przedstawicielami sowieckiej misji w odległe miejsce po zakupy. Sowietci mieli przedstawicieli mówiących po arabsku. Tak więc przegraliśmy. OK, przegraliśmy. Pytanie jednak w tym kontekście brzmi: gdyby nie wypowiedź madame Chiang, gdyby przedstawiciele owych trzech arabskich krajów zachowali się inaczej, gdyby Amerykanie byli w stanie przekonać tej trójki – co by się stało? Prawdopodobnie przyjęto by podwójne przedstawicielstwo, czyli zezwolono by ChRL na stałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa. Cóż by to oznaczało? Otóż później dowiedzieliśmy się od Amerykanów o podejściu Chińczyków. Nie przyjęliby tego. Teraz to jest wiadome z opublikowanych dokumentów, wtedy jednak nie było. Pozwolono by nam na pozostanie w charakterze zwykłego członka, a w 1972 r. Albania złożyłaby kolejną rezolucję mającą na celu wykluczenie RCh.

Tak więc nie podzieliliby się reprezentacją?

Zgadza się. Nigdy. To jest zasadnicza sprawa. Właśnie to. Wiemy, że dlatego przegraliśmy w 1971 r. Gdybyśmy nawet cokolwiek wtedy zmienili, przegralibyśmy w 1973 lub 1974 r. Całkowicie. To była cena, której zażądali.

Nigdy nie zaakceptowaliby wspólnego przedstawicielstwa?

Zgadza się.

Czy możemy się teraz skoncentrować na latach 90.? Co było najważniejszym wydarzeniem tej dekady w obrębie trójkąta Waszyngton–Pekin–Tajpej? Jak ocenia Pan spotkanie przywódców ChRL i USA, Jianga oraz Clintona? A także wizytę Lee Teng-hui w 1995 r. w USA?

Moim zdaniem, w trakcie mojego pobytu w Waszyngtonie, stosunki na linii USA–RCh osiągnęły swój szczytowy rozwój. To były najlepsze lata. Nie było żadnych problemów, mogliśmy omówić wszelkiego rodzaju zagadnienia, mogliśmy podzielić się wszelkimi tajemnicami. W owych dniach w przypadku jakiegokolwiek wizyty amerykańskiego decydenta w Pekinie, lub wysokiego rangą urzędnika ChRL w Waszyngtonie, każdorazowo powiadamiano nas o tym przed publicznym podaniem do wiadomości. Po drugie, wiedziałem, że spotkam się z wysoko postawionymi urzędnikami Departamentu Stanu i zaprezentuję im swoje poglądy i obiektywnie dotyczące zbliżającego się wydarzenia.

Nawet w wypadku wizyty z ChRL?

Tak. Mogliśmy przekazać swoje zastrzeżenia, czego należało unikać. Oni zaś odnosili się do naszych uwag. A gdy amerykańscy przywódcy odwiedzali Pekin, natychmiast po ich powrocie wysoki rangą urzędnik spotykał się z nami i mogłem

mu zadać w tym momencie każde pytanie. Przewracał kartki z notatkami i wyjaśniał wszystko wyczerpująco.

Dlaczego stosunki te układały się tak dobrze?

Z prostej przyczyny. W ciągu 4 lat po wycofaniu uznania, od 1 stycznia 1979 do 31 grudnia 1982 r., stosunki między USA a RCh były pełne obustronnych podejrzeń. My uważaliśmy, że nas po prostu ordynarnie sprzedali. Oni posądzali nas o zamiar sabotowania nowych i niezbyt trwałych stosunków z ChRL. Każdy nasz ruch interpretowali w ten sposób. Co jeszcze gorsze, były to naprawdę ważne osobistości. W czasie wczesnej administracji Cartera – Richard Holbrooke, asystent sekretarza stanu ds. Azji Wschodniej i Roger Sullivan z Narodowej Rady Bezpieczeństwa, odpowiedzialny za sprawy azjatyckie. Obydwaj uważali ZSRR za największego wroga USA. Celem przeciwstawienia się temu niebezpieczeństwu współdziałała z ChRL, która była w stanie zaangażować 51 najlepszych radzieckich dywizji wzdłuż wspólnej granicy. Tak więc był to równoległy strategiczny sojusz między USA i ChRL, w ramach którego Stany powinny zrobić wszystko dla zadowolenia i uspokojenia ChRL, a każdy, kto próbowałby zdestabilizować ten pozytywny związek, powinien być potępiony [śmiech...]. Później Ronald Reagan wyznaczył Alexandra Haiga na sekretarza stanu, a przyjaciel Alexandra Haiga z West Point, John Holdridge, został asystentem sekretarza stanu ds. Azji Wschodniej i Pacyfiku. Obydwaj dzielili dokładnie te same poglądy na zagadnienia strategiczne jak Holbrooke i Sullivan. Z tego właśnie względu nasze stosunki były takie nieudane. W dodatku my wysłaliśmy [do Waszyngtonu] dwóch kłopotliwych ludzi. Pierwszego nazywano „niekontrolowanym pilotem myśliwca”. Dążył do ponownego ustanowienia stosunków dyplomatycznych. Bardzo starał się samowolnie naprawić sytuację i przywrócić poprzedni stan rzeczy, czyli dokładnie to, przeciwko czemu opowiadały się ChRL i USA. Drugi był jego przeciwieństwem. Nie robił nic. Potem mieliśmy Wspólny Komunikat z 17 sierpnia 1982 r. I właśnie z tego powodu wysłano mnie do Waszyngtonu. Powiedziałem wszystkim: „nie jestem Bogiem, nie zmienię tego z dnia na dzień. Jednak musicie mi wszyscy pomóc”. W pierwszej kolejności zajęliśmy się mediami. Powiedziałem im: „są pewne sprawy, o których nie możecie informować, jak np. sprzedaż broni... Kiedy zachodzą jakieś większe zmiany w biznesie (akurat otworzyliśmy oddziały w Bostonie i w Kansas City) – nie informujcie o tym... Lub też, że spotkałem się z wiceprezydentem Bushem, czy sekretarzem Shultzem. Nie informujcie o tym, nawet jeśli o tym wiecie. To będzie miało negatywny wpływ”. Trzeba przyznać, że stosunkowo dobrze z nami współpracowano. Po drugie, nigdy nie starałem się antagonizować nas z rządem amerykańskim. Ponieważ byłem bardzo aktywny towarzysko, moje nazwisko zawsze widniało na liście zaproszeń – prezydent Reagan zaprosił mnie do Białego Domu, sekretarz Shultz zaprosił mnie do Departamentu Stanu itd. Jednak tak naprawdę nie życzyli sobie, bym się tam z żoną pojawiał. Tak więc po otrzymaniu

zaproszenia zawsze dzwoniłem i upewniałem się. „Nie, nie, lepiej nie przychodzić”. „Dobrze” Byliśmy w Waszyngtonie dosyć popularni. Kiedy Reagan wydał przyjęcie dla Stowarzyszenia polsko-amerykańskiego, moje nazwisko znalazło się na liście zaproszonych. Zawsze byłem w takich sytuacjach bardzo uważny. Ponieważ przedtem pracowałem jako rzecznik rządu, miałem dobre kontakty z mediami, w szczególności z sieciami. Tak więc po moim przybyciu do Waszyngtonu, chcieli, bym się pojawiał na konferencjach. Dzwoniłem więc i pytałem – i zawsze to samo: „nie, nie, nie, proszę nie przychodzić”. Były to tzw. wzajemne przysługi: czyli pytam ciebie, czy rzeczywiście mam się pojawić, odpowiadasz, że nie, a ja postępuję tak, jak sobie tego życzysz. Ujmując to naukowo – pozyskałem ich zaufanie. Tak więc, kiedy ja prosiłem ich o podanie mi dokładnych i całościowych informacji, czynili to. Sprzedaż broni – to dziedzina bardzo wrażliwa. Chińczycy nie chcieli, aby Stany Zjednoczone sprzedawały nam cokolwiek. Jednak żeby móc się bronić, potrzebowaliśmy broni. Tak więc próbowaliśmy prosić władze amerykańskie o takie zachowania, które byłyby pomocne dla nas i nie obrażały ChRL. Co mogło urazić władze ChRL? Na przykład sytuacja, w której Amerykanie muszą publicznie oznajmić, że „teraz sprzedajemy Tajwanowi, tyle a tyle, takiej to a takiej wartości. Wysyłamy to obecnie do Kongresu celem zaakceptowania.” Staraliśmy się to podejście przełamać aż do momentu jego zaprzestania. Była to tzw. taktyka salami. Teraz stale o tym czytamy, lecz wtedy użyliśmy jej po raz pierwszy. Zjechać w dół. Pułap wynosił np. 14 mln, tak więc co sądzicie o 12 milionach? Na to nie było zapotrzebowania. Więc 12 mln na to, 11 mln na to. Potem nadszedł Wspólny Komunikat z 17 sierpnia 1980 r., w którym ustanowiono pułap, zarówno jakościowy jak i ilościowy, a także datę zakończenia sprzedaży. Pułap z 1980 r. wynosił w sumie 800 mln. Do czego sprowadzała się umowa między USA a ChRL? Amerykanie zobowiązali się w niej, że nie będą sprzedawać nam nowszego niż wyposażenie już posiadane. My jednak posiadaliśmy sporo nowoczesnych rzeczy [śmiech]. Mówiliśmy więc: czas na zmiany. Bo też czymże był średni poziom technologiczny broni z 1980 r.? Wraz z upływającymi latami – np. w 1985 r. – ten stary sprzęt przecież będzie wart coraz mniej. W zakresie jakości musieliśmy się dostosowywać do zachodzących zmian. Jeśli chodzi o wartość – mówili – 800 mln i co roku redukcja tej sumy o 20 mln. Tak więc w ciągu 40 lat sprzedaż ta ustałaby w całości. Do tego dodałem jednak *COLA* – *cost of living adjustment*. Za 800 mln można kupić w roku 1980 dziesięć sztuk danego towaru, jednak w 1990 r. prawdopodobnie 5. Tak więc 800 mln w 1980 r. stanowiłoby w 1990 r. jedynie 540 mln. I na to ustalenie zawarte we Wspólnym Komunikacie z 17 sierpnia staraliśmy się wpłynąć. Zasadniczo jednak osiągnęliśmy wtedy tyle, że ze wszystkimi nawiązaliśmy przyjazne stosunki. Pracowałem tak ciężko... Administracja, Kongres i nawet wymiar sprawiedliwości. Cała dziewiątka z Sądu Najwyższego przychodziła do mnie na kolacje [śmiech]. Jediną nadal żyjącą osobą jest Sandra D. O'Connor, pierwsza dama, z którą rzeczywiście szczerze się zaprzyjaźniliśmy. Ponadto gościli u mnie

przedstawiciele rządu stanowego, stanowej władzy sądowniczej, rządu miejskiego, rada miasta, obydwie partie, AFL, CIO, Amerykańska Izba Handlu, Amerykańskie Stowarzyszenie Producentów, Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarskie, wszystkie think–tanki, wszyscy koledzy z uczelni. Ze wszystkimi staraliśmy się utrzymywać przyjazne stosunki. Na koniec – media. Regularnie lub też okresowo odbywałem spotkania z przedstawicielami gazet: „AP”, „UPI”, „Time Magazine”, „Newsweek”, „US News & World Report”, „New York Times”, „Washington Post”, „Washington Times” (wówczas jeszcze nie istniał „Washington Star”). Wszystkim im musisz poświęcić czas i energię.

Jednak jest to rodzaj inwestycji.

Tak, to inwestycja. Od mojego wyjazdu z Nowego Jorku minęło już 15 lat. Jednak każdorazowo, kiedy ktoś przyjeżdżał z Waszyngtonu do Tajpej, chciał się ze mną spotkać, jak z małpą w ZOO. Każdorazowo, kiedy ja tam jadę – ostatnio byłam w listopadzie zeszłego roku [2002] – ustawiali się w kolejce do spotkania. Nawet opozycja ci to powie, oni to wiedzą. DPP nadal odcina kupony z mojej ówczesnej pracy. Jednak! Chcę Ci powiedzieć jedną rzecz. Wspominałeś o wizycie Lee Teng-huia w 1995 r. To było rzeczywiście szkodliwe, bardzo szkodliwe. Czynnikiem, który spowodował wskrzeszenie stosunków amerykańsko-tajwańskich, było obustronne zaufanie. Sekretarz stanu Warren Christopher obiecał Qian Qichenowi [minister spraw zagranicznych – przyp. R. Z.] z ChRL, że Lee Teng-hui nie otrzyma zgody na przyjazd do USA. Jednak on udał się do *Cassidy&Associates* – może słyszałeś o tej firmie⁸ – i próbował dostać się na uniwersytet Cornell. Lobbował także w Kongresie, którego przywódcy wywarli presję na Białym Domu. W końcu zgodzili się. Prezydent Clinton popełnił błąd, nie informując swojego sekretarza stanu ani nie porozumiewając się z nim przed publicznym podaniem tego do wiadomości. I to spowodowało całą resztę. Departament Stanu uważał, że działamy przeciwko niemu, Rada Bezpieczeństwa Narodowego także. Nasze stosunki natychmiast pogorszyły się.

Już na samym początku?

Tak. Na szczęście doszło do kryzysu rakietowego w 1996 r.⁹ Amerykanie wysłali dwa lotniskowce do Tajpej. Powiedzieli mi: Frederick, z punktu widzenia armii jeden lotniskowiec nie oznacza jeszcze wojny. Sam niewiele znaczy, musi mieć wokół siebie inne jednostki. Ja nic nie wiem o wojskowości. Powiedzieli mi jednak, że jeśli wysyłasz dwa, oznacza to, że jesteś gotowy do podjęcia walki. Wte-

⁸ Firma zajmująca się w Waszyngtonie od 30 lat konsultingiem i lobbieniem.

⁹ W wyniku wizyty prezydenta Republiki Chińskiej Lee Teng-huia na uniwersytecie Cornell w 1995 r., której Chińska Republika Ludowa zdecydowanie się sprzeciwiała, ChRL podjęła wobec Tajwanu represję. Konsekwencją było także pogorszenie się stosunków ChRL–USA.

dy zrozumiałem. I tutaj ChRL się przeliczyła. Jeśli spojrzymy wstecz, łatwiej to wszystko zrozumieć. Władze Tajwanu, przywódcy, opinia publiczna, media, naukowcy stale krytykowali USA, że nie sprzedają nam broni, nie odpowiadają na nasze prośby. Oni wychodzili z założenia, że nie ma takiej potrzeby. „Stale staracie się wywołać wilka z lasu, jak dzieciaki. Jednak gdzie on jest? Przecież go nie ma”. Kto jest tym wilkiem? My mówiliśmy, że ChRL nas zaatakuję, jednak strona amerykańska odpowiadała, że po pierwsze: Chińczycy nie mają potencjału niezbędnego do zaatakowania oraz, po drugie: że z posiadanych przez nich informacji wywiadowczych wynika, że nie mają nawet takiego zamiaru. „Dlaczego więc stale chcecie kupować broń, nie ma ku temu powodu, a wymagacie od nas konfrontacji”. Tak tę sprawę postrzegali. Zawsze też mówili nam: „jeśli odkryjemy, że dążą do zaatakowania was, będziemy mieli znacznie więcej powodów do zmartwień niż wy”. Stąd też w momencie konfrontacji zdecydowali się na wysłanie dwóch statków.

I to był dla Pana dowód? Dostrzegli powagę sytuacji?

Tak, to dowodzi ich postawy. Możliwe, że w trakcie tych wszystkich przeprowadzonych tu wywiadów wiele osób będzie krytykowało Stany Zjednoczone, że nie robią tego lub tamtego. Jednak oni patrzą na to z naszego punktu widzenia. Piszę akurat pamiętniki i widzę to z całościowej perspektywy. Mam swoje własne krytyczne podejście do Amerykanów. Dotyczy ono głównie tego, że nie konsultowali się z nami w momentach, kiedy powinni. I to jest uprawniony zarzut. Jednak kiedy twierdzisz, że nas sprzedali – taki zarzut jest bezpodstawny.

Jednak większość Tajwańczyków docenia ochronę ze strony USA. Skarżą się na to czy owo, jednak wiedzą, że dzięki ich obecności czuliście się bezpiecznie, mogliście prowadzić handel i rozwijać się.

Tak, poczucie bezpieczeństwa to zasadnicza sprawa. Kiedy przebywałem w Waszyngtonie, starałem się rozbudować moją wiedzę z zakresu sprzedaży broni opartą na rozwoju ekonomicznym. Gdybym miał pieniądze, nie chciałbym inwestować na Tajwanie, chyba że miałbym pewność bezpieczeństwa mojej inwestycji. Jeśli jako gospodarz masz lotniskowiec, wtedy jako inwestor czuję się bezpiecznie. To jest mój „slogan reklamowy”. I to się podoba.

Powróćmy do końca lat 90. Do skutku wizyty Lee Teng-huia. A także do wizyty Jiang Zemina w USA i Clintona w Chinach?

Według mnie Jiang Zemin jest bardzo sprytny, bardzo mądry. Ma charyzmę. I Deng Xiaoping miał charyzmę.

Spotkał ich Pan osobiście?

Nie, jedynie widziałem w telewizji. Byłem na to za mały. Także Zhou Enlai to postać charyzmatyczna. Dla przywódców ChRL trudno jest być osobowością, ponieważ żyją w społeczeństwie pełnym ograniczeń. Dla nas jest to prostsze, ponieważ jesteśmy wolni. Jiang rzeczywiście sprawiał na amerykańskiej opinii publicznej wrażenie kapitalisty, nie traktowali go jako komunisty.

Mówi Pan o przeciętnych Amerykanach?

Tak, o normalnych Amerykanach. Myślę o sposobie, w jaki mówił, ubierał się. Wydaje mi się, że Hu Jintao sprawia na Amerykanach wrażenie innej osobowości niż Jiang Zemin. Clinton jest osobą, której zachowanie jest bardzo trudno przewidywać. Znam go bardzo dobrze. Za każdym razem, gdy ktokolwiek z Tajwanu przyjeżdżał go odwiedzić, pierwsze pytanie dotyczyło Fredericka Chiena: „Jak mu się wiedzie?”. Mieliliśmy nasze spotkania w ramach APEC. W trakcie tychże zawsze pytał naszego przedstawiciela o Fredericka. Dlaczego? To proste. Kiedy był gubernatorem Arkansas, odwiedził nas cztery razy. Dwukrotnie, kiedy byłem wiceministrem spraw zagranicznych, dwukrotnie gdy byłem przewodniczącym Rady Planowania Gospodarczego i Rozwoju. Wysyłał mi listy, w których pisał, że nigdzie indziej nie spotkał się z tak dobrym przyjęciem. Pobytu u nas, dyskusje dotyczące gospodarki i rozwoju, oceniał bardzo wysoko. Wydawało mu się, że nie było to moją silną stroną, później przyznał jednak, że się mylił. Tak więc w głębi serca miał dla nas sporą dozę sympatii. Nie można powiedzieć, że opowiadał się za ChRL lub przeciw RCh. Jednak część jego działań była niezrozumiała. No cóż, wydaje mi się, że gdybyś był prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie do końca miałbyś możliwość robienia tego, co byś chciał. Musiałbyś uwzględnić interesy wszystkich. Najważniejsze jednak jest, że nie miałbyś wglądu do wszystkich dokumentów, na których by ci zależało, a tylko do tych podsuniętych ci do czytania. Tak więc zasadnicze znaczenie ma fakt, kto jest twoim sekretarzem stanu, doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego.

Jednak prezydent ma wpływ na wyznaczenie takiej osoby.

Tak, choć z drugiej strony nie ma w tym względzie całkowicie wolnej ręki. Jeżeli miałby ją, nie potrzebowałby komitetu. Jako kandydat potrzebujesz swojego komitetu. Dlaczego go potrzebujesz? To bardzo ciekawe w polityce. Ty zajmujesz się politologią, ja zajmuję się politologią. Zawsze sobie wyobrażamy, że będąc u władzy, mamy wolność robienia wszystkiego według naszego uznania. Nie jest to takie proste.

To nie takie łatwe.

Tak, nie jest to takie łatwe. Musisz balansować. Za czasów administracji Clintona polityka wobec Tajwanu nie była traktowana priorytetowo. Wydaje mi się, że gdy-

by pod koniec XX w. napisać podsumowanie, należałoby podkreślić, że w trakcie tych 22 lat od cofnięcia uznania dyplomatycznego najbardziej fascynujący jest fakt, że RCh nadal istnieje. Może nie trzyma się najlepiej, ale jednak istnieje. Nie tak dobrze, jak to niegdyś było, ale jest ok. To jest fascynujące. Bo przecież kiedy Carter zdecydował o normalizacji, nie uprzedzając nas o tym wcześniej, wychodził z założenia, że przestaniemy istnieć za 4–5 lat.

A potem co?

Potem wchłonęłaby nas ChRL. Tak właśnie myślał. Tak. Carter, Brzeziński i Holbrooke. Nie Vance.

Vance i Brzeziński różnili się w poglądach.

Nawet bardzo. Vance to dżentelmen. Opowiem ci prawdziwą historię. 15 grudnia 1978 r. o 9 wieczorem w pokoju dla prasy w Białym Domu – nie było to w Departamencie Stanu – Vance rozpoczął konferencję prasową mówiąc: „Szanowni Państwo, pragnę was poinformować, że Stany Zjednoczone w końcu znormalizowały swoje stosunki z ChRL. Ponieważ jednak cały dzień ciężko pracowałem i jestem bardzo zmęczony, pozwólcie, że wrócę do moich współpracowników”. I wyszedł. Nie zabiegał o splendor w świetle reflektorów. Wtedy wszedł Carter, w trakcie konferencji prasowej. Był taki podekscytowany i szczęśliwy. Tak więc Vance nie był tym układem tak bardzo zainteresowany. To Carter, Brzeziński, Holbrooke, Roger Sullivan, Michael Oksenberg, ta piątka. Około półtora miesiąca po tej konferencji miałem rozmowę ze znanym, zmarłym już, publicystą, Stanleyem Karnowem. Opowiedział mi on scenariusz, według którego doszło do normalizacji. Nie uwierzyłybyś. W tak zasadniczej sprawie podjęto decyzję ot tak sobie. Decyzję podjęła jedna osoba.

W wywiadzie przeprowadzonym z Deanem Ruskiem opisuje on, w jaki sposób podjęto decyzję w sprawie podziału Korei wzdłuż 38. równoleżnika. Dwie osoby zdecydowały o tym w trakcie krótkiej rozmowy. I tyle.

Zgadza się. Zajmując się polityką, można się zdumieć mnóstwem rzeczy. Mówi się, że należy dokładnie pisać scenariusz, w końcu jednak okazuje się, że wcale nie. Po cofnięciu uznania uspokajano nas: „Nie martwcie się, Stany Zjednoczone z pewnością się do tego od dawna sumiennie przygotowały. Przygotowano na ten temat mnóstwo dokumentów”. Atakowali nas zaś nasi ludzie, nasze społeczeństwo, media i parlamentarzyści: „Nie przygotowaliście się do tego”. A było dokładnie na odwrót. Bardzo sumiennie się do tego przygotowaliśmy, bardzo ciężko pracowaliśmy. Półtora roku wcześniej napisałem dla Chiang Ching-kuo raport, w którym przedstawiłem dziesięć różnych wariantów tego, co się może wydarzyć między ChRL a USA. Jak mamy się zachować, łącznie z jego przemówieniami z różnych okazji. Kiedy 20 maja 1978 r. Chiang Ching-kuo przestał być premierem

i objął urząd prezydenta, poprosił mnie o spotkanie. Usiedliśmy przy jego biurku i wtedy zapytał: „Czy wiesz, co jest w tej teczce?”. Odpowiedziałem: „Skąd mam wiedzieć?”. To była czarna, skórzana teczka. On na to: „To jest twój raport. Tego ranka wzięłem go ze swojego starego biura”. To była cała rozmowa. Wyszedłem. Chciał mi pokazać, że się w pełni przygotował. Na ten temat rozmawiałem też z Warrenem Christopherem. Zapytałem, jak się przygotowali do nowej sytuacji, co zamierzają, i teraz, kiedy nie łączą już nas więzi dyplomatyczne, jak będą chronić naszą własność i depozyty?

A było tego sporo.

O tak, sporo pieniędzy. Jak będą się kształtować nasze nowe stosunki? Spytałem, czy może mi pokazać odpowiednie dokumenty. „Nie, nie, są w ogólnej rezolucji omnibusowej. Wszystko jest tam razem”. „Mogę je w takim razie zobaczyć?” „Nie, jeszcze nie są gotowe”. „Słyszałem, że przygotowaliście sporo dokumentów. Czy może mi pan podać jakiś ogólny zarys? Może stanowisko Departamentu Stanu?”

Tak więc nic nie wiedział.

Nic. Kongres był okropnie wściekły. Kompletny brak jakiejkolwiek staranności i przygotowań. Nie uwierzyłybyś.

Dlaczego?

Karnow mi to powiedział. To było podyktowane względami politycznymi. Był to koniec 1978 r. Minęła połowa pierwszej tury Cartera. Dążył do zakończenia otwartych jeszcze kwestii politycznych. Drugą połowę roku poświęcił sprawom wewnętrznym, w tym gospodarce. Ostatecznie przegrał z powodu słabej sytuacji gospodarczej. Tak więc miał już za sobą umowę z Camp David w sprawie Bliskiego Wschodu, zbliżał się do uregulowania ze Związkiem Radzieckim rozmów w sprawie SALT II. Tak więc gdyby doprowadził także do znormalizowania stosunków z ChRL, byłoby to dyplomatyczne *qui pro quo*. W okolicy 20 września wezwał Brzezińskiego i powiedział: „W zamian za nawiązanie stosunków dyplomatycznych ChRL stawia trzy warunki, a mianowicie: cofnięcie uznania, rozwiązanie umowy i wycofanie wszystkich wojsk”. Poprosił go o napisanie Wspólnego Komunikatu zgodnie z przedstawionymi warunkami. Brzeziński myślał, że to jakiś dowcip. Tak więc nie zrobił nic. Po upływie dwóch tygodni, na początku października, prezydent wezwał go ponownie i spytał o szkic Wspólnego Komunikatu. „Ok, wyślij to Woodcockowi i następnie Chinom”. Chińczycy to przejrżeli. Nadal brakowało im jednak uregulowania jednej kwestii – sprzedaży broni. Zgłosili więc odpowiedni postulat. „O nie, tego nie możemy zrobić, to za dużo. Kongres by to skrytykował”. Odesłano więc do renegocjacji i uzgodnienia. Takie proste. Spytałem więc Stanleya Karnowa, skąd o tym wszystkim wiedział? Przecież to bardzo tajna wiedza. Powiedział mi: „Gdybyś był jednym z tej piątki, miałbyś

w sercu potrzebę powiedzenia innym, że do niej należysz. Wie o tym jedynie owa piątka”. I ktoś z nich mu to powiedział. Albo Brzeziński, Holdridge, Roger Sullivan lub Richard Solomon, lub Mike Oksenberg.

Chciałbym teraz spytać o porównanie polityki KMT i DPP wobec USA w ciągu ostatnich 30 lat.

Obydwie partie przywiązywały ogromne znaczenie do naszych stosunków z USA. Podejście do nich DPP może zobrazować wysłanie przez tę partię jako obecnego przedstawiciela do USA Chien-jen Chena, wyjątkowo zaangażowanego członka KMT, przewodniczącego departamentu KMT ds. Chińczyków zamorskich. Jednak DPP postanowiło wysłać go do Stanów Zjednoczonych w swoim imieniu.

Sami nie mają wystarczająco dobrych kadr?

Nie dysponują odpowiednią ilością fachowców. DPP od zawsze była zdania, że odkąd pojawiliśmy się na Tajwanie, nasze stosunki z USA mają zasadnicze znaczenie. Japonia także jest ważna, jednak nie aż tak. W swoim czasie mieliśmy trzech przyjaciół, z którymi wiązały nas stosunki dyplomatyczne – Arabię Saudyjską, Koreę i Republikę Południowej Afryki – obecnie wszystkich ich straciliśmy. Jednak te kraje wszystkie razem nie miały takiego znaczenia jak Stany Zjednoczone. Tak więc nikt nie neguje faktu, że stosunki z USA mają dla nas fundamentalne znaczenie. Stąd też w pewnej mierze DPP skłania się ku temu, czego Stany Zjednoczone od niej oczekują. Wydaje mi się, że osobą, która rzeczywiście nie dbała o te stosunki, był Lee Teng-hui. [...].

To była jego prywatna decyzja?

Jego własna. Było to wyrazem wyjątkowej nonszalancji. Dla niego polityka jest ważniejsza od dyplomacji. Chen Shui-bian także popełnił błąd, wspominając o *each side, one state*. Także nie uprzedził o tym USA. I cierpiał w wyniku tego. Jednak w bardzo sprytny sposób starał się naprawić szkodę. Lee Teng-hui nigdy nie starał się naprawić błędu.

Zgodził się na wywiad w przyszłym tygodniu.

Świetnie. Musisz się dokładnie przyjrzeć jego twarzy. To wyjątkowa twarz. Wiadać na niej jego zdecydowanie, determinację. Chiang Ching-kuo czasami bardzo się złościł na USA, jednak na zewnątrz nie dał tego po sobie poznać. Nawet gdy amerykański ambasador powiadomił go o cofnięciu uznania, był bardzo spokojny. Nigdy nie tracił panowania nad sobą. Jest to bardzo rzadkie.

Był bardzo skromną osobą.

Bardzo, zgadza się.

Czytałem ostatnio wyniki badania opinii publicznej. Wynikało z nich, że najbardziej lubianym i szanowanym prezydentem był Chiang Ching-kuo, najmniej zaś Lee Teng-hui. Odbierany jest jako osoba, która wyrządziła Tajwanowi ogromną szkodę.

[Śmiech] Przyczyna jest bardzo prosta. Kraj ten jest tak fascynujący. Pracuję tu ponad 40 lat. Czasami słyszysz ludzi, skarżą się: „Ten kraj nie jest fair. Dlaczego niektórzy ludzie tak długo zajmują wysokie stanowiska?”. Jednak w ostatecznym rozrachunku, ten kraj jest bardzo fair. W głębi serca ludzie wiedzą, kto ciężko pracuje, kto jest czysty, kto zaś nie.

Bardzo dziękuję za rozmowę.